



GIEORGIJ EFRON Z ZAPISKÓW PARYŻANINA²

1

Metro nie wytrzymało i – który to już raz! – zwymiotowało tłumem szybko rwącym na górę, ku powietrzu. Razem z nim znalazłem się na powierzchni ziemi. Nie zauważywszy nawet, jak wyszedłem z wagonu, wspiąłem się po schodach i odruchowo kupiłem 6 wydanie „Paris-Soir”³.

Wyszedłem z metra na stacji „Mairie d’Issy” (merostwo Issy). Stacja mieści się w ożywionym miejscu, na placu. Z tyłu wyjścia z metra jest mały skwer z mnóstwem kasztanowców, na prawo biegnie ulica Félix’a Faure’a, po której wcześniej jeździły tramwaje, ale teraz, kiedy zakończyły swój byt, snują się po niej zielone autobusy dowożące wieczorem z Paryża całe legiony ludzi, którzy zakończyli pracę.

Sklepy były przepelnione; ludzie poczuli głód i szli, poobwieszani pakunkami z produktami, a kasjerka z działu mięsnego nie zdążyła się nawet przypudrować. Kawiarnie też były wypełnione po brzegi przez gości: zbliżała się godzina wieczornego aperitif, po którym robi się weselej i który powinien „przepchnąć” zbliżający się obiad. Zresztą

¹ This is an open-access article distributed under the terms of the Creative Commons Attribution-ShareAlike 4.0 International (CC BY-SA 4.0 <https://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/>) which permits use, distribution, and reproduction in any medium, provided that the article is properly cited, the use is non-commercial, and no modifications or adaptations are made. Publisher: University of Gdańsk. Faculty of Languages [Wydawca: Uniwersytet Gdański. Wydział Filologiczny].

² Podstawa tłumaczenia: Г. Эфрон. *Записки парижанина. Дневники, письма, литературные опыты 1941–1944 годов. С рисунками автора (публикуются впервые)*. Издание подготовили Е.Б. Коркина, В.К. Лосская, А.И. Попова, Москва: Издательство «АСТ» и РГАЛИ, 2018. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.

³ Gazeta „Paris-Soir” zaczęła się ukazywać w 1923 r. i była wydawana do 1944. Tytuł rozwiązano z powodu kolaboracji redakcji z Niemcami podczas okupacji Paryża w czasie II wojny światowej.

po obiedzie ludzie znowu szli do kawiarni – tym razem aperitif powinien być „wspomóc trawienie”, a i do roboty nic wieczorem nie było. Jedni zaczynali już rzucać w karty, drudzy zadowalali się niewinnym dominem, a trzeci spoglądali z pożądaniem na bilard, czując przedsmak sportowo-wirtuozowskich przyjemności.

Na placu było hucznie. Gazeciarze donośnie wykrzykiwali: „Pari-Soir, Entrants, szóste wydanie!”; z rykiem podjeżdżały autobusy do przystanku; przechodnie nawoływali się z różnych chodników. Niewyraźnie i głucho huczało metro; klaksony samochodów słycać było wszędzie; mali chłopcy krzyczeli i piszczeli. Na dobitkę, obwieszczając koniec zmiany, wyły syreny zakładów Renaulta, Blocha⁴, Matforda, rozmieszczone niedaleko stąd.

Dzień zbliżał się ku końcowi. Słońce od dawna zamierzało zniknąć zupełnie, ale z jakiegoś powodu to się mu nie udawało: zachodziło bardzo powoli jakby litowało się nad ziemią i nie chciało pozbawiać jej ciepła oraz światła. Ostatnie rude chmury pokrywały plamami wieczornej rdzy ściany domów i od czasu do czasu, odbijając promienie zachodzącego słońca, szyby jakiegoś pojedynczego okna zaczynały błyszczeć niezwykle jaskrawo, nie do wytrzymania dla oczu. Szedłem chodnikiem ulicy Forta, stromo biegnącej w górę – ku Vanves i dalej, ku Clamart.

– No tak, słońce jest oczywiście wspaniałe... Nie sposób zaprzeczyć: ta pomarańczowa połowa dysku, opadająca za grzebieniami szarych domów na tle niebieskawego nieba, wywołuje dość efektowne wrażenie... W dzieciństwie myślałem, że słońce zachodzi na końcu świata. Ale później się dowiedziałem, że koniec świata nie istnieje... Gdybym był malarzem albo poetą, wtedy, być może, widok zachodzącego słońca natchnąłby mnie i stworzyłbym jakieś takie dzieło!... Ale, niestety, nie jestem zdolny do ostrego reagowania na zjawiska przyrody. Tak, niewątpliwie jest pięknie, ale... Ale co? Ale prawdopodobnie po prostu woli się czytać gazetę przy szklaneczce Byrrha⁵ niż głowić się nad kwestią, dlaczego nie potrafię się zachwycić zachodem słońca!...

Włóczyłem się po mieście przez cały dzień, zmęczyłem się strasznie, a myśli moje jakby nachodziły jedna na drugą i z łatwością ześlizgiwała się jedna z drugiej. Zewnętrzny świat wydał mi się złożoną i bezmyślną, ale dość przyjemną dekoracją.

Nie przygnębiało mnie, jak to się dzieje prawie zawsze ze mną, męczące odczucie pustki, chociaż ulica, domy i ludzie byli odbierani przeze mnie jako pewien bezsensowny chaos, bezcelowe nagromadzenie przedmiotów. Ale ten chaos nie był wrogi; zmęczenie stępiło moją wrażliwość nerwową i byłem gotów przyjąć i przebaczyć nawet chaosowi, który nagle stał się domowy i zwykły. Ten brak łączności myśli, który brał się z niedostrzegania prawidłowości i celowości postrzeganych przeze mnie zdarzeń oraz zjawisk i który mi ciążył jako nienormalność, teraz nie wywoływał we mnie żadnych bolesnych strun i wydawał się naturalnym i odpowiednim. Jak zwykle, prowadziłem ze sobą swego rodzaju rozmowę, ale tym razem nie dziwiłem się temu i nie oburzałem się z tego powodu.

⁴ Marcel Dassault (właśc. Marcel Bloch, 1892–1986) – francuski konstruktor lotniczy.

⁵ Byrrh to aromatyzowany aperitif do wina, składający się z czerwonego wina, mistelli i chininy. Znany na rynku od 1866 roku, zdobywał popularność jako francuski apéritif. Miał opinię „napoju higienicznego” i dlatego sprzedawał się z powodzeniem na początku XX wieku.

– Wielki trzypiętrowy dom... Konsjerżka siedzi na krześle przed progiem. Konsjerżka to od wieków komiczna postać we Francji... Ale pamiętam, jak 1 maja konsjerżki szły na czele swego związku zawodowego i wymachiwały miotłami niczym emblematami... Pod oknami domu – zielone pojemniki z jakimiś roślinami. Po rynnie, na górze, lezie kot... Dźwięki gramofonu: śpiewa Tino Rossi. Dobrze śpiewa. Dlaczego wymyślają mu zwolennicy „dobrego smaku”? – ponieważ jest bardzo popularny. Zawsze znajdują się ludzie, którzy powiedzą: skoro popularny, więc trywialny. To nie tak. A zresztą rzeczywiście, być może, jest trywialny i ja nie mam smaku? Czort wie. Śmieszne, ale jest klub wielbicieli talentu Tino Rossiego. Wszystkie „wielbicielki”, są oczywiście zakochane po uszy w czarnowłosym Korsykaninie-piosenkarzu. Do tego klubu należą wszelkie sprzedawczynie, bielizniarki... Głupie dziewczyny! Nie widzę siebie w roli członka jakiegokolwiek „klubu Vivian Roman” albo „Katharine Hepburn”. Mimo wszystko mężczyźni do tego jeszcze nie doszli... Ale doszli natomiast do wojny, gazów bojowych... Wolę kluby wielbicieli. Czy to znaczy, że kobiety są lepsze? Hm... Chyba nie. W młodości wszystkie myślą tylko o narzeczonych, a potem, po wyjściu za mąż, zajmują się tylko dziećmi, do starości psują życie tym samym dzieciom i robią na drutach nikomu niepotrzebne skarpetki... Czasami zdradzają męża. Według mnie – zbyt rzadko. No a my? My też jesteśmy niezli: zaczynamy od domu publicznego, potem wpadamy w objęcia jakiejś głupiej dziewczyny, która z czasem okazuje się natrętną kwoką domową, pijemy, służymy... dobrze jeszcze, gdy nie głosujemy na kandydata Centrum Republikańskiego!... A kończymy w ten sposób, że leczymy się z hemoroidów i piszemy testament... Zajść do kawiarni czy nie?

Ulica, po pokonaniu wzniesienia, jakie mnie zmęczyło, przechodziła przez skrzyżowanie, w którego lewym kącie przytuliła się mała kawiarnia. Niekiedy do niej zachodzę.

Pod płóciennym daszkiem nawet nie było stolików; natomiast były jakieś próby przyozdobienia: przed oszklonymi drzwiami wejściowymi zieleniły się krzewy, stała donica z palmą. Na skrzyżowaniu, w pryzmie piasku, bawiły się dzieci.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do kawiarni. Drzwi okropnie zaskrzypiały, kiedy je otwierałem, ale zamknęły się bezszelestnie. Siadłem przy najbliższym stoliku.

Za cynkowym bufetem, nachyliwszy się, stał gospodarz kawiarni. Był gruby, łysy i okrągły, z szelkami na koszuli, z podwiniętymi rękawami i w fartuchu okrywającym spodnie i koszulę. Za uchem tkwił słabnący niedopałek; lewą ręką opartą na łokciu podtrzymywał rumiany policzek, a w prawej trzymał ołówek i coś pisał. Jego wargi poruszały się pod rudymi wąsikami. Liczył oczywiście dzienny dochód. Kiedy wszedłem, potrząsnął głową i wybałuszył na mnie oczy. Zobaczywszy, że jestem dobrze ubrany, natychmiast podbiegł do stolika, przy którym usiadłem i wyszeptał, uśmiechając się:

– Czego Pan sobie życzy?

– „Pernod” raz.

– Już podaję, monsieur.

Oglądałem pomieszczenie. Składało się z małej sali. Na lewo od wejścia – cynkowy bufet z bateriami butelek wzdłuż ściany, na prawo – grupa stolików i krzeseł. Na ścianach – reklamy aperitifów: Byrrha, Sinzano, Dubonnee, Saint-Rafael. W głębi sali po lewej stronie stał mały stół pokryty zielonym sukniem i z rozciągniętą w poprzek siatką: prawdopodobnie stół służył do gry w ping-ponga. Podłużne okna wzdłuż lewej

ściany były kiedyś osłonięte białymi firankami. W rogu obok drzwi prowadzących do wewnętrznych pokoi, śpi zwinięty w kłębek foksterier.

W przeciwieństwie do kawiarni na placu, ta kawiarnia była całkiem pusta. Być może tutaj jakąś rolę odgrywał jego niepozorny wygląd, a być może przychodzili tutaj tylko stali bywalcy o określonej porze, jak to czasami bywa. Tak czy owak, byłem sam i cieszyłem się z tej okoliczności, bo spocony tłum w metrze i krzątania na placu zmusiły mnie do poszukania odosobnienia, które było tożsame z odpoczynkiem.

Gospodarz znowu zajął się obliczeniami, a ja z rozkoszą pociągałem zimny zielonkawy płyn z posmakiem anyżu; płyn szedł w głowę; to był dobrze zamaskowany, niemniej jednak silny alkohol.

O niczym nie myślałem, piłem tylko powoli swoje Pernod, wpatrując się w niebieskie żyłki w marmurowym blacie stolika. Dostrzegłem gazetę, po którą sięgnąłem, a potem, usiadłszy, położyłem na stole. Otworzyłem ją i zacząłem czytać.

Zawsze kupuję „Paris-Soir”, podobnie jak większości paryżan i mieszkańców przedmieść. Oczywiście, że uchodzi za oznakę arystokratyzmu, „bon tonu”, powagi czytać „Le Temps”; oczywiście, że modnie jest afiszować się swoimi sympatiami demokratycznymi, trzymając w ręku „Ce-Soir”; oczywiście, można zaznaczyć swą oryginalność, kupiwszy wychodzącą zupełnie od niedawna wieczorną gazetę pravicowców „Senk-Er”; ale ja wolę „Paris-Soir”. Ta gazeta dostarcza zawsze, jeśli nie najdokładniejszej, to przynajmniej w każdym razie, najróżnorodniejszej informacji o wszystkim, co jest godne zainteresowania, co dzieje się w Paryżu, we Francji i na całym świecie. Jej współpracownicy piszą lekko i zrozumiale, a jak zajrzysz do „Le Temps” do jakiegoś działu polityki zagranicznej, na pewno uwięzniesz! Ponadto „Paris-Soir” jest drukowany tłustą czarną czcionką, dobrze przekazującą wszystkie odcienie sensacji. „Paris-Soir” ma mnóstwo fotografii; w gazecie drukuje się teraz kolejna powieść G. Simenona *Testament Donadieu*. Tak w ogóle, ta gazeta jest najbardziej paryska spośród paryskich gazet wieczornych i ja jako prawdziwy paryżanin ją właśnie preferuję.

Co dzisiaj jest interesującego? Znowu zagadkowe zabójstwo w pociągu pośpiesznym. Proces Weidmanna⁶, który zabił 7⁷ ludzi. Niczego sobie! „Tour-de-France”. Ostatni etap: Cannes – Paryż. Pamiętam, jak w dzieciństwie zawsze przypuszczałem, że ten, kto wygra ostatni etap, będzie zwycięzcą. A potem się okazało, że to nie wcale nie tak, albowiem w trakcie całego turnée podlicza się liczbę punktów, wyłania się lidera i tenże lider może nawet przyjechać na finisz w Paryżu jako ostatni, a mimo to zostać zwycięzcą. W tym roku wygra Belg Sylvère Maes⁸. Zuch Sylvère! On już po raz drugi wygrywa „Tour-de-France”. Na marginesie, gdzieś w Belgii prowadzi on kawiarnię.

⁶ Georgij Efron wspomina o ostatniej publicznej egzekucji, która odbyła się w Paryżu 17 września 1939 roku. Wtedy to w Wersalu zgilotynowano francuski seryjnego mordercę niemieckiego pochodzenia, Eugène'a Weidmanna (1908–1939). Wykonanie wyroku zostało sfotografowane przez reporterów, którzy ukryli się na dachu pobliskiego domu. Fakt ten spowodował, że ówczesny prezydent Albert Lebrun (1871–1950) zniósł egzekucje publiczne.

⁷ Według oficjalnych danych ofiarą G. Weidmanna padło nie 7, lecz 6 osób. Do ostatniego zabójstwa, w którym śmierć poniósł Raymond Lesobre, doszło 27 listopada 1937 roku w Sain-Cloud – zob. https://pl.wikipedia.org/wiki/Eug%C3%A8ne_Weidmann (dostęp 5.04.2021).

⁸ Sylvère Maes (1909–1966) – kolarz belgijski szosowy, który zwyciężył w wyścigu Tour de France dwukrotnie: w latach 1936 i 1939.

Boks. Murzyni są chyba najsilniejsi. Joe Louis, Henry Armstrong, John Henry Lewis, Leroy Heinz. A Francuzi przepadli. Ich czas w boksie przeminął. Carpentier – właściciel modnego baru, Marcel Thil się wypalił... Świetnie, że pobili tego słynnego Niemca, Maksa Schmelinga. I kto go pokonał? Murzyn! Macie swoją wyższość rasy aryjskiej. I pokonał Schmelinga w ciągu dwóch minut, pokonał naukowo, z finałem w postaci klasycznego nokautu, przez prosty uppercut.

Piłka nożna. Kibicuję klubowi Sète. Z jakiegoś powodu jest mi sympatyczny. Drużyna z Sète wszystkich zwycięża. W Sète urodził się Paul Valéry. Prawdopodobnie nie lubił on piłki nożnej. A ja lubię i piłkę nożną, i wiersze Valéry'ego. Czy to brzmi źle:

...Que l'univers n'est qu'un défaut
Dans la pureté de Non-Etre!⁹

Takiego drugiego poety we Francji nie ma.

– Proszę jeszcze jeden Pernod!

– Już podaję, monsieur.

Hm... Znowu plotki na temat tego biednego byłego Edwarda VII (obecnie „po prostu” księcia Walii)¹⁰ i jego amory z tą missis Simpson. Co tu może być interesującego? Zakochał się w niej po uszy i basta, wszystko jasne. A że ani on, ani ona nie są piękni, to fakt. W przysłowiu przecież mówi się, że „Kaźda potwora... itd. À chaque vilain sa vilaine¹¹, zwłaszcza gdy vilain jest członkiem rodziny królewskiej, a vilaine – amerykańską milionerką. Tytuł i pieniądze upiększają zużyte fizjonomie protagonistów tej tragikomedii. Być może Georg – jękający się, ale istny Brytyjczyk, rzeczywiście jest bardziej na swoim miejscu na angielskim tronie niż światowy Edward, który nie chce rozstawać się ze swoją missis Simpson?

Trochę kroniki świeckiej. „Dzisiaj na skokach w Longchans był obecny Van Dongen, André de Fouquières, Tristan Bernard i Paul Reboux”. Co tu mówić – sól ziemi. Dzieci, dzieci, bawcie się!... Jednak Van Dongen jest już całkiem stary. A i Tristan Bernard niczego sobie. Van Dongen wciąż maluje obrazy w frywolnym duchu, a Tristan Bernard ciągle opowiada bez mrugnięcia okiem dwuznaczne anegdoty i jego broda się śmieje. No cóż! Paryż pozostaje Paryżem, nawet z brodą i pod siedemdziesiątkę! Mówiąc o Paryżu, trzeba będzie koniecznie pójść do Casino-de-Paris, gdzie występuje Maurice Chevalier. Przecież ani razu go nie widziałem – tylko słyszałem z płyt i w radiu.

Teatr... *Straszni rodzice* Jeana Cocteau¹². Ile się mówi i pisze o tej sztuce! Autor – rzeczywiście utalentowany człowiek. Czytałem tylko jedną jego książkę: *Okropne dzieci*¹³; bardzo dobre.

⁹ Poprawnie wers ten brzmi trochę inaczej: „L'univers n'est qu'un défaut dans la pureté du non-être”. (Online) <http://www.linternaute.fr/citation/17882/l-univers-n-est-qu-un-defaut-dans-la-purete-du-non-etre---paul-valery/> (dostęp 5.04.2021). W dosłownym tłumaczeniu: „Wszechświat jest tylko skazą w czystości niebytu”.

¹⁰ Chodzi nie o Edwarda VII, lecz Edwarda VIII, będącego po abdykacji księciem Windsoru.

¹¹ À chaque vilain sa vilaine – odpowiednik polski: Kaźda potwora znajdzie swego amatora.

¹² Georgij Efron ma na myśli sztukę Jeana Cocteau z 1938 roku *Les parents terribles*.

¹³ Powieść *Straszne dzieci* (*Les enfants terribles*) została opublikowana we Francji w 1929 roku.

Elektra Jeana Giraudoux. O, ten to spryciarz, a jego powieści, to w rzeczy samej nieustanna gadanina, ale za to jaka mądra, błyskotliwa gadanina! Tak w życiu raczej się nie porozmawia.

Właściciel kawiarni daje mi jakieś znaki. Gdy czytałem, zdążył włożyć marynarkę, przygładzić włosy na czubku głowy i zapalić nowego papierosa. Obok niego stoi jego żona. To brunetka około trzydziestu, trzydziestu pięciu lat, jest o głowę wyższa od swojego męża; nad górną wargą przebijają się wąsiki. Jest kobietą puszystą, cała ubiera się w czerń. To gorliwa katoliczka i każdej niedzieli chodzi do kościoła w Issy, co nie przeszkadza jej być energiczną kochanką dwóch, trzech młodych mężczyzn, których częstuje darmowymi aperitifami i którzy z braku doświadczenia oraz obawy przed strasznymi następstwami choroby wenerycznej nie mają nic przeciwko ćwiczeniom w sztuce miłości z tą pełną temperamentu, ale komfortową mieszkanką południa. Właściciel oczywiście o wszystkim wie, lecz kawiarnia należy do żony i dlatego nie śmie nawet pisać, a i raczej nie chce się pozbyć swojego statusu rogowca. Ma to gdzieś. Jest cynikiem i lubi tylko pieniądzem chociaż nie, nie: czasami, ryzykuje na goniwach.

– Monsieur, idziemy dzisiaj do kina i muszę zamknąć kawiarnię wcześniej niż zwykle...

Rozliczyłem się, dałem właścicielowi napiwek i wyszedłem na ulicę. Madame prowadziła na rzemieńnej smyczy głupiego białego foksteriera, a monsieur, zamknąwszy żelazną ramę na klucz, godnie wziął swoją żonę pod rękę i skierował się z nią ku ulicy Jeana Jaurès'a, gdzie znajduje się kino „Alhambra”. Foksterier napinał smycz i czekał na przechodniów.

Dwie szklanki Pernoda zrobiły swoje. Szedłem ciężkim krokiem; trochę kręciło mi się w głowie. Przeszedłszy dwie, trzy ulice wreszcie doszedłem do domu, gdzie mieszkam, wszedłem na pierwsze piętro, otworzyłem drzwi, zapaliłem światło w pokoju i klapnąłem na kanapę. Obudziłem się mniej więcej po trzech godzinach, a teraz siedzę i robię te notatki.

2

Obudził mnie szum, który dochodził z dołu. Krzyki, ostra wymiana zdań, płacz... znowu rodzinne niesnaski u Rosjan, którzy mieszkają na parterze w oficynie. Ajkanowowie wymigrowali z Rosji do Francji po rewolucji październikowej, rodem są z Taganrogu, a stara babcia znała Czechowa¹⁴.

Nie wiem, kim była ta rodzina przed rewolucją, ale tutaj jej członkowie pod wpływem przeżytych nieszczęść zaniedbali się. W mieszkaniu Ajkanowów panuje całkowity nieporządek, chociaż jest sprzątane po dziesięć razy dziennie. Wychodząc stamtąd, można być pewnym, że się wyniesie na sobie trochę pluskiew, nie mówiąc o pchłach, których jest mnóstwo. Bez względu na to, że rodzina jest ogromna i miejsca w domu mało, Ajkanowowie trzymają psy, które kręcą się po pokojach w poszukiwaniu jedzenia, rzucają się wszystkim pod nogi, wywracają krzesła i paskudzą, gdzie się trafi, po

¹⁴ Anton Czechow (1860–1904) urodził się w Taganrogu.

czym są bite i wypędzane na ulicę; ale po jakimś czasie wracają i wszystko zaczyna się od nowa.

W mieszkaniu Ajkanowów znajdują się kolosalna ilość starych, nikomu niepotrzebnych rzeczy, stosy zniszczonych gazet i książek, podarta odzież i szmaty, rozbite obrazy, małe wazy i garnki, deski, połamane wiadra, kawałki żelaza. Wszystkie te rupiecie już dawno należałoby wyrzucić, niemniej są one ostrożnie przechowywane – niby że mogą się jeszcze przydać w domu.

Rodzina nie żyje w przyjaźni i codziennie dochodzi do kłótni, które czasami zamieniają się w bójkę. Rzecz sprowadza się do wielkiego zagmatwania w stosunkach rodzinnych: młodsze pokolenie, które wielokrotnie się żeniło i rozwodziło, oddaje się scenom zazdrości oraz wzajemnym oskarżeniom o każdy nieładny albo nieuczciwy czyn, przy czym dostaje się także starszemu pokoleniu, które, chociaż i ciężko jęczy, lecz na poniżanie się nie zgadza... Ale najbardziej odczuwalne są tutaj brak pieniędzy i nadużywanie wódki. Pierwsze rozgorycza tych nieszczęśliwych ludzi, którzy znaleźli się w imadle potrzeb i głodu, a drugie jeszcze bardziej pogłębia ich – i bez tego – historyczne nastroje. Tak więc sobie żyje ta rodzina, wyrzucając wszystkie swoje przeżycia, nieporozumienia i skandale na zewnątrz, ku wielkiej uciechu pozostałych mieszkańców naszego w domu, którzy, chociaż sami nie należą wcale do bogatych, gardząc cudzoziemcami-metojkami, odczuwają pewną moralną wyższość i moralną satysfakcję.

Żyję sam i nie prowadzę domu, dlatego, umywszy się i ubrawszy się, jem śniadanie w kawiarni naprzeciwko. Dzisiaj – cudowna pogoda – nie ma deszczu, słońce przebija się przez lekką mgłę, tak w ogóle dzień jest taki, jakim go lubię. W kawiarni kreślę kilka słów do Suzy, które potem wyślę listem pneumatycznym. Prawdopodobnie spotkam się z nią wieczorem. Dzisiaj – niedziela i za dni zamierzam udać się na bulwar Montparnasse: dawno tam nie byłem.

Tradycyjną drogą – przez ulicę Bodena i ulicę Forta, schodzę ku Issy, do placu merostwa. Zachodzę na pocztę, wysyłam list do Suzy, siadam do autobusu linii „89” i po dziesięciu minutach wychodzę obok bramy Wersalskiej. Udam się „dla zażycia ruchu” pieszo po ulicy Vaugirard do bulwaru Pasteura, tam siądę do metra i po jednym przystanku będę przed dworcem Montparnasse.

Ulica Vaugirard – jest prawie najdłuższą paryską arterią. Ciągnie się przez dziesięć dzielnic, przecinając „lewy brzeg” od bramy Wersalskiej do bulwaru Saint-Michel.

Ulica Vaugirard jest ożywiona. Zaczynają otwierać się kasy kin, na tarasach kawiarni pojawiają się pierwsi bywalcy i obie strony ulicy zapełniają się wózkami i straganami z warzywami i rybami. Handlarki niepokoją powietrze swoimi krzykami i aż do placu Conviension (Konwentu) ulica ma trochę charakter bazaru. Partery prawie każdego domu zajmują sklepy: mięsny kram, megasam, księgarnia, obuwniczy, kawiarnia, jubiler, drugi obuwniczy, fryzjer – i tak dalej aż do nieskończoności.

Ludzie snują się tutaj najróżnorodniejsi, bo na ulicy Vaugirard spotykają się dwa zupełnie odmienne okręgi paryskie: 15. – plebejsko-handlowy z 6. – artystycznym, bogatym. Lubię chodzić ulicą Vaugirard właśnie dlatego, że zawsze mogę na niej spotkać każdy paryski egzemplarz człowieka. Śmiesznie powiedzieć, ale pewnego razu policzyłem, że na całej linii metra Mairie d'Issy do Montmartre'u i dalej właśnie na przystanku „Conviension”, czyli w centrum ulicy Vaugirard, wchodzi do wagonów największa liczba pięknych kobiet!

Idę wśród dobrodusznego paryskiego tłumu, oczarowany jego ruchem, oczarowany oddychającą, ruchliwą, ożywioną ulicą, tak dobrze mi znaną i taką niepowtarzalną. Znam tutaj każdy dom, znam każdą część perspektywy i za każdym razem odczuwam przyjemność ze swojego związku z tym miastem, które odbieram jak kogoś bliskiego, pomimo że w nim się nie urodziłem¹⁵.

Koło kawiarni na rogu ulicy Convension spotykam mojego przyjaciela Paula Leforta¹⁶. Przywitanie, uścisk dłoni; odcinek drogi do bulwaru Pasteura przejdziemy razem.

Nazwałem Paula Leforta moim przyjacielem. Ale czy słusznie? Paul to coś więcej niż znajomy, ale mniej niż przyjaciel. Przyjaźń uważam za prawdziwą tylko wtedy, gdy każdy partner jest gotowy ofiarować bardzo dużo drugiemu, i bardzo dużo z myślą o nim się wyrzec. A ani ja, ani Paul nie jesteśmy zdolni do takiej ofiarności. A i po co ona? To nie w duchu Paryża. Głębokość uczuć jest raczej typowa dla prowincji.

Lefort jest starszy ode mnie o pięć lat. Poznałem się z nim dość dawno, jeszcze wtedy, gdy uczyliśmy się w jednej szkole w Clamart. Nasza znajomość opierała się na moim ubóstwianiu Paula i na jego wyrozumiałości dla mnie. Do tej pory nie wiem, z jakiego powodu tak mi się spodobał. Prawdopodobnie ma jakiś talent do zauroczenia. Zewnętrznie nie jest atrakcyjny: dość chudy, średniego wzrostu młody mężczyzna o rudych włosach i czarnych oczach; zawsze ubiera się ze smakiem; manieri ma nienaganne, głos przyjemny i kpiący. Jak ja go uwielbiałem, gdy miałem dwanaście lat! Sprzeczaliśmy się w kwestiach polityki, rozmawialiśmy o kobietach. Sprawiało mu przyjemność, gdy widział moje uwielbienie dla jego osoby i dlatego nie odpychał natrętnego chłopca, który zawsze chciał iść z nim razem do szkoły. Potem, kiedy różnica lat nie dawała już tak o sobie znać i kiedy zacząłem z większą przenikliwością patrzeć na zjawiska i ludzi, moje ubóstwienie się rozplynęło, ale Lefort wciąż był dla mnie sympatyczny i zachowałem z nim więzi. Ciekawy szczegół: Paul to potomek w linii prostej znanego generała Leforta będącego na służbie u cara Piotra I¹⁷.

Paul-Henri Lefort, Francuz, lat 24 od narodzin – maminsynek. Ta prawda, niestety, jest niewzruszona, lecz nie przeszkadza mi ona w przyjaźni z Paulem. Mieszka we wspólnym lokalu przy ulicy Voisembert (obok bramy Wersalskiej), w oddzielnym pokoju, który nazywa „moja garsoniera” (kawalerka). Ojciec Paula jest wyższym oficerem sił powietrznych; zapewne to dość duża szyszka w świecie wojskowych; dużo zarabia. Nigdy go nie widziałem, podobnie jak i matki Paula, przy czym nie czuję żadnej potrzeby, by ich poznać.

Paul Lefort mało czyta; w jego pokoju razi brak książek. Natomiast bardzo starannie dba o siebie i nadąża za modą, lubi czekoladowe cukierki i w jego szafce zawsze można znaleźć pudełko świętych cukierków marki „Marquise de Sauvignon”.

Paul uczył się słabo, padł w czasie egzaminów maturalnych i z trudem zdał egzamin po raz drugi; nie obyło się bez nacisku ze strony rodziców. Obecnie studiuje prawo na Sorbonie, ale też strasznie marnie i niechętnie.

¹⁵ Szczegół autobiograficzny: Georgij Efron urodził się pod Pragą, we Všenorach, należących wtedy do Czechosłowacji.

¹⁶ Postać historyczna, przyjaciel Georgija Efrona z czasów, gdy Mur mieszkał w Paryżu.

¹⁷ Chodzi o Franza Jakowlewicza Leforta (François Le Fort; 1656–1699) – rosyjskiego generała (od 1693), następnie admirała (od 1695), przyjaciela i bliskiego współpracownika cara Piotra I.

Lefort nie ma poglądów politycznych. Mówię oczywiście o twardych, przemyślanych poglądach. Kiedy oboje uczyliśmy się w katolickiej szkole w Clamart, Paul był członkiem miejscowego oddziału młodzieży komunistycznej. Teraz jest członkiem „francuskiej partii popularnej”, której przewodzi Doriot. Paul chce wszystkiego skosztować; można go nazwać cynicznym politycznym dyletantem. Mówi mi, że trzeba rozstrzelać Marty’ego, ponieważ zdradził Francję, powstawszy przeciwko władzy wojskowej, zdradził Ojczyznę. Ponadto Paul często powtarza aforyzm: „Wolę żyć jak Niemiec niż umrzeć jak Francuz”. W głębi duszy Paul jest struty propagandą piątej kolumny, to ultrapacyfista i oczywiście ma gdzieś Ojczyznę i flagę narodową; te słowa tylko przykrywają jego obojętność wobec Francji.

Poza tym wydaje mi się, że polityczne fascynacje Paula są niezwykle powierzchowne i podobne do fascynowania się nowym filmem. W organizacji młodzieży komunistycznej prowadzono gorącą działalność propagandową. Przez pewien czas Lefort był pochłonięty tym intensywnym życiem społecznym, które później mu się sprzykrzyło, ponieważ straciło urok nowości i dlatego zdecydował się zaznać szczęścia u Doriota. Zresztą i u Doriota nic nie robi, a tylko czeka na to, „co takiego oni wywiną”, jak sam mówi.

Lefort zmienia przekonania w powodu formy znaczka, z powodu koloru książeczki członkowskiej, w ten sam sposób, jak zmienia się półbuty albo kapelusze.

Wielkie przywiązanie do zewnętrznej strony i przejawów życia – oto co jest dla niego niezwykle charakterystyczne. A Paryż tak obfituje w te czysto zewnętrzne błyszczące atrybuty, że bardzo trudno jest się nimi nie zafascynować i niekiedy z trudem udaje się odróżnić oryginał od fałszywki, zwłaszcza że fałszywki często „podaje się” w znacznie bardziej nęcącym i pociągającym wyglądzie niż to, co oryginalne...

Idziemy z Paulem ulicą Vaugirarda i przerzucamy się frazami o polityce: w rzeczy samej jesteśmy nowoczesnymi ludźmi, a nowocześni ludzie rozmawiają o polityce o każdej porze dnia i nocy.

– Nie, przyjacielu, – mówił Lefort. – Całą sprawę psują cudzoziemcy. Jest ich zbyt wielu u nas. Tylko zjadają chleb Francuzów.

– Ej, mój drogi, ta pieśń jest już stara; cudzoziemcy nic do tego nie mają. Jeśli Francja pozostała w tyle w porównaniu z innymi krajami w dziedzinie uzbrojenia i produkcji przemysłowej, winę ponoszą jej szefowie pozbawieni talentu. Pamiętasz, co napisał ostatnio Montherlant: „Za każdym razem, gdy Francja dostaje kopniaka w zadek, woła kukuryku! Cała nasza polityka zagraniczna, uwierz mi, składa się z serii kopniaków i „zwycięskich” gdakań po każdym z nich. Cofamy się przed wrogiem, a potem sami rozślawiamy ten odwrót niczym zwycięstwo nad światem. Czy to ma związek z przemysłem i uzbrojeniem?”

Mówię z przekonaniem i wierzę w to, co mówię, a tymczasem mój rozum kłóci się z moimi uczuciami. Wiem, że polityka kapitulacji wobec Hitlera niczego dobrego nie przyniesie, ale dobrze pamiętam dzień 28 września 1938 roku. Wydawało się, że wszystko jest skończone, a wojna – nieunikniona. Szedłem bulwarem Włoskim i powtarzałem: „Nie, to niemożliwe. Czyż w taki rajski dzień, gdy niebo jest takie niebieskie, czyżby miała się rozpętać wojna?”. I kiedy dotarła wiadomość o konferencji monachijskiej, gdy przez Paryż i cały świat przetoczyły się te same słowa: „dogadali się”, przyniosły one ogromną ulgę niczym łyk powietrza dla duszącego się. Nawet ci, którzy

mieli świadomość, że Monachium to oszustwo, fatalne dla demokracji odstępowo, nawet oni, jestem przekonany, cicho powiedzieli: „Dzięki Bogu, tym razem minęło”.

Jesteśmy nieszczęśliwym pokoleniem wsysającym pacyfizm z mlekiem matki. Zbyt dużo nasłuchaliśmy się o okropnościach wojny, zbyt dużo czytały Remarque'a i Dos Passosa – i wielu innych! – zbyt wiele widzieliśmy filmów antywojennych. Zostaliśmy wychowani na nienawiści i pogardzie dla wojny. Wszyscy nasi współcześni pisarze to pacyfiści, wszystkie gazety piszą przeciwko światu, cała nasza kultura jest wroga idei wojny. Oto dlaczego witano uroczyście Daladiera i Bonneta po ich powrocie z Monachium i to „kukuryku”, jak mówi Montherlant, było chyba niestety ogólnonarodowe i wszyscy cieszyliśmy się z darowanego pokoju.

– Tak, stary – kontynuuje Lefort – zgadzam się z tobą, że nasi szefowie nadają się do czorta. Wszyscy oni to nadęte bubki. Tchórzliwy Blum, ostrożny Chautemps, nadymający się pseudobohater Daladier, pusty człowiek de la Rocque – czy to są przywódcy?

– To samo Doriot! – dodaję ironicznie, pragnąc go podjudzić. Ale Paul nie reaguje.

– Co Doriot? Jest dobrym mówcą, a o reszcie nie wiem.

Nasza rozmowa jest całkiem bezpłodna i Lefort kończy temat polityczny smutną wypowiedzią:

– Tak, stary, polityką się człowiek nie nasyci.

– Zobaczymy, co powiesz, jak zostaniesz deputowanym – dopowiadam.

...Paul się śmieje i idziemy dalej, ciesząc się ze swojej młodości, zadowoleni z naszego młodego cynizmu, przekonani że nie damy się zwieść i dumni z tego, że stoimy ponad jakimiś tam politycznymi rozbieżnościami. Jesteśmy przecież w Paryżu i miasto-czarodziej rozpuszcza namiętności w wesołym wirze sceptycyzmu.

Paul opowiada o swoim życiu w Metz, dokąd został oddelegowany jego ojciec.

– Mój drogi, tam była jedna Czeszka... Uf, do czorta, co za piękna dziewczyna! Naprawdę stałem się zagorzałym zwolennikiem Czechów, dopóki mieszkałem w Metz. Szybko się sobie spodobałiśmy i do dzisiaj zachowuję o niej wspomnienia. Wyobraź sobie, że kiedy rozpuszczała włosy, opadały one jej prawie do pięt! O, to ja rozumiem, to jest kobieta!

Lefort ma słabość – lubi się przechwalać swoimi zwycięstwami w stylu Don Juana. Nie wierzę w Czeszkę, ściślej nie wierzę w to, że ją posiadał, ale udaję, że przyjmuję wszystko, co powiedziała za dobrą monetę. Skoro przechwalanie się sprawia mu przyjemność, dlaczego należałoby pozbawiać go tej przyjemności? Paul powie: „Nie wierzysz – nie musisz” i się obrazi, ponieważ pomyśli, że w rzeczy samej mógłby osiąść tę Czeszką, gdyby wydatkował więcej energii i że ja nie mam żadnych podstaw, aby mu nie wierzyć. Prawdopodobnie nawet zdąży przekonać nawet samego siebie, że sam nie chciał tracić czasu na tę Czeszkę i jeszcze mocniej się obrazi z powodu mojej niewiary zakładającej opór z jej strony. Rozumiem grę jego przypuszczeń.

Ale oto już bulwar Pasteura, dwie narożne kawiarnie naprzeciwko siebie, oto liceum, metro...

– To tymczasem, stary, żegnaj...

– Na razie!

Paul oddał się na prawo, w dół po bulwarze, wzdłuż liceum, do ulicy Lecourbe, a ja wchodzę do ogarniającego mnie strumieniem ciepła wejścia do metro.

Po trzech minutach niebieski pociąg wiezie mnie na Montparnasse.

3

Stacja metra „Montparnasse” ma dwa wyjścia. Obierając jedno z nich, trafia się na ulicę Rennes prowadzącą od placu o tej samej nazwie do centrum Paryża i rz. Sekwany; obierając drugie, wychodzi się wprost do dworca Montparnasse.

Z dworca Montparnasse można pojechać do Bretanii, do Normandii, a także do najbliższych przedmieść i do Wersalu. Dworzec jest masywny, ale niezbyt wielki, zbudowany w późnym stylu empire i ozdobiony okrągłym zegarem o rzymskich cyfrach, które odmierzają kolejną cząstkę czasu. W niedzielę przed dworcem współzawodniczą w krzykliwej gorliwości sprzedawcy gazet skrajnych opcji politycznych: od „Humanite” do „Action Française”. Ci ludzie dość pokojowo układają się ze sobą, pomimo różnic w prezentowanych przez nich ugrupowań politycznych i bójki między nimi zdarzają się rzadko. Tutaj także, przy wejściu do dworca, przechadza się sprzedawca balonów i zdaje się, że ten wątpy staruszek ledwo, ledwo trzyma się ziemi, że gotów jest w każdej minucie poszybować w niebo na skutek pociągania przez swój wesoły różnokolorowy ciężar!

Cały parter dworca zajmują tak zwane pasaże: trzy, cztery szerokie przejścia, po których bokach rozlokowano sklepy i kino „Cineac”; pokazują w nim francuską kronikę filmową na zmianę z amerykańskimi filmami animowanymi; program jest nadawany przez cały dzień, od rana do nocy, i zamienia się raz na tydzień, przy czym w środę, w dniu zmiany programu, można nawet, trafiwszy na sześciogodzinny seans, zobaczyć dwa programy i do woli nacieszyć się dyplomatycznymi uśmiechami, mięśniami mistrzów i niepowodzeniami Micky Mouse. W witrynach sklepowych są wystawione pióra wieczne, które za pomocą elektryczności nieskończenie wypisują monogramy swoimi złotymi stalówkami, drogie zabawki i małe pociągi, które są kupowane nie dla dzieci wołających czytać powieści przygodowe i potajemnie palić perfumowane papierosy, lecz prędy dla bogatych ojców rodzin, odpoczywających od giełdy, polityki albo trosk administracyjnych. Tanie zegarki, perfumy, krawaty, patefony i radiole, naszyjniki i bransolety, małe „pamiątki” w postaci wieży Eiffela albo znaczków – wszystkie te bezwartościowe paryskie drobiazgi przyciągają cudzoziemców, którzy chętnie opróżniają swoje kieszenie, by kupić „article de Paris”¹⁸.

Przy wejściu na dworzec – kiosk z książkami i czasopismami, wielki pstry kiosk; i zawsze mam pragnienie, by kupić całą jego zawartość, bo tyle jest w nim interesujących książek i czasopism. Nic na świecie tak mnie nie wabi i nie przyciąga, jak księgarnie i kioski z gazetami i jeszcze chyba antykwariusze znad brzegów Sekwany.

Wchodzę po szerokich kamiennych schodach na pierwsze piętro dworca. Panuje tam krzątania związana z wyjazdem. Tragarze ciągną na wózkach kufry i walizki, kręcą się w pośpiechu ludzie, przenikliwie świszczą i huczą parowozy, z megafonu rozlegają się donośne ogłoszenia o odejściu pociągów. Wszędzie porozklejano afisze z widokami miejscowości, gdzie można spędzić weekend albo urlop. Teraz właśnie rozpoczął się sezon wiosenno-letni i paryżanie chętnie wyjeżdżają ze stolicy do wszystkich zakątków wybrzeża, gór i dolin Francji...

¹⁸ Z fr. article de Paris – towar z Paryża.

Kąpię się w trwożnej atmosferze wyjazdu i całkowicie mnie ona pochłania. Wyjechać! Dziecięca magia tego słowa wciąż jeszcze na mnie oddziałuje. Cóż, dzisiaj zaczyna się mój dwumiesięczny urlop; została przerwana na dwa miesiące monotonna praca kancelaryjna, jestem wolny i mogę wyjechać, dokąd tylko zechcę. Mojej pensji, plus małej emerytury, którą otrzymuję po śmierci rodziców, zupełnie wystarczy na podróż i pokrycie wakacyjnych kosztów. Jechać? Oczywiście, ale dokąd? Zresztą zdążę o tym pomyśleć. Trzeba będzie trafnie wybrać miejsce, gdzie spędzę lato, żeby nie żałować potem Paryża, jak to było w zeszłym roku, kiedy mieszkałem w Moret nad Loing.

Moret – cudowne stare miasteczko, położone nad brzegiem rzeki Loing, dopływem Marny. W Moret jest dawna gotycka cerkiew, malowniczy półchłopski bazar; do tego miasteczka wkracza się przez bardzo stare bramy zbudowane z szarego kamienia, na wpół się rozsypujące i przebite pociskami – wspomnienie po wojnie 1870–1871 roku. W Moret jest cicho... Rzeka przepływa pod garbatym mostem, amatorzy, siedząc na zielonym brzegu rzeki, łowią problematyczne ryby, kawiarnie są puste i pachnie w nich korkiem oraz pleśnią. Nie zważając na te wszystkie cudeńka, szybko ogarnęła mnie autentyczna nuda. Co robić, czym się zająć? Kraj płaski, nudny, z niewieloma wioszczkami, całkowicie nie ma gdzie spacerować; lasów nie ma, tylko rzadziutkie gaiki; z braku książek i rozrywek rzuca w sen i całe to spokojny Moret jest jakiś zaspany... Jednym słowem, stęskniłem się – byłem zadowolony, kiedy wróciłem do hałaśliwego, niekiedy męczącego, lecz żywego Paryża.

Wracam i, schodząc przez pasaż, wychodzę na plac Rennes. Ależ tutaj ruch! O mały włos zginąłbym pod kołami rozpędzonego auta – ale pomyślnie przecinam plac na skos i wchodzę do iskrzącego się białą farbą i szkłem „Milk-Baru”.

Wytwornym mieszkańcom Montparnasse’u i zblazowanym cudzoziemcom, wszystkim tym ludziom, którzy zaznali przesyty, sprzykrzyły się zwykłe kawiarnie. Tak naprawdę, ci, którzy uważają się za najlepszych wśród nich, w rzeczy samej są całkowicie podobni do najbardziej zabiedzonych. W jakimś maleńkim punkcie na Rochechouhart podają te same napoje, co w ekscentrycznym „La Coupole” i „Rotonde”. Są one bogato udekorowane, odwiedzają je czasami sławy w rodzaju Marleny Dietrich, ale lustra w marmurowych ramach i najdłuższe rzęsy „fatalnej” aktorki przestały wywierać wpływ na wybredną publiczność Stolicy Smaku. Otwarcie „Milk-Baru” niechybnie chociaż na mig zabawiło paryżan, stworzyło iluzję nowości.

W tym barze nie podają napojów spirytusowych, natomiast można tam otrzymać szklankę doskonałego mleka, mocno schłodzonego i orzeźwiającego oraz starannie przygotowaną kanapkę z szynką. W „Milk-Barze” można skosztować – przygotowanego zgodnie ze wszystkimi regułami sztuki – narodowego amerykańskiego ice-cream soda (a paryżanie znają go tylko ze słyszenia), nie mówiąc już o kakao i kawie z tym samym milk.

„Milk-Bar” to kawałeczek USA w Paryżu i dlatego często można usłyszeć w nim nosową mowę Anglosasów. Jeszcze jedna nowość: przy bufecie można siedzieć jak w Ameryce i szykownych klubach na kręcących się taboretach, przymocowanych do podłogi za pomocą długiej nóżki. Od białej farby, która pokrywa ściany i stoliki baru, z braku zapachów wina i na wpół pijanej paplaniny, od widoku uśmiechających się i pracowitych młodych kelnerów, od tego wszystkiego wieje zdrowiem; „Milk-Bar” jest

świeży i niebanalny, bo to zdrowie, albo wrażenie zdrowia, dodaje mu bardzo nęcącego uroku.

Zresztą obawiam się, że i „Milk-Bar”, ten kawałeczek transatlantyckiego „prosperity”, wkrótce wszystkim się sprzykrzy, jak amerykańskie filmy i rozmowy o wojnie. Ale teraz – po raz pierwszy w życiu! – poznaję tajemnicę ice-cream soda i chociaż pod tą trójkondygnacyjną nazwą kryją się tylko lody 3 rodzajów ze śmietanką i wodą sodową, a wszystko zostało podane w ogromnie wydłużonym pucharze – mimo wszystko doznaję pewnego drżenia typowego dla wtajemniczenia. Lody pomagają mi pokonać trochę artykułów w londyńskim „Daily Mail”; ta angielska gazeta jest tak samo nudna jak nasz „Temps” i tak samo całkiem dobrze poinformowana i solidna. Przyznaję, że nie znoszę tych wszystkich porządnickich, zakutych w kołnierzyki siwowłosych i rumianych staruszków, komercyjnych asów i reakcjonistów-redaktorów. A „Daily Mail” jest ich organem. Ich głos monotonnie płynie przez stateczne kolumny podziemia szanownej gazety. Gazety amerykańskie są o wiele weselsze.

Tak więc uczyniłem zadość dobremu smakowi, zwiedziwszy „Milk-Bar” i zrównoważyłem naturalną swoją lekkomyślność czytaniem ciężkiej politycznej bzdury. Dzień zaczyna się dobrze, sumienie moje jest spokojne i mogę kontynuować swą drogę.

4

Wyszedłszy z „Milk-Baru”, idę bulwarem Montparnasse w kierunku dzielnicy Łacińskiej.

Dla mnie Montparnasse to symbol Paryża. Niektórzy zaprzeczą i powiedzą, że symbolem Paryża są Pola Elizejskie – najbardziej szykowna ulica na świecie; Broadway № 2, do tego jeszcze Gust pisany wielką literą. Inni powiedzą, że Paryż – to poetyckie pagórki ogrodu Buttes-Chaumont, knajpki z ulicy Fontaine, plac Pigalle o północy, jednym słowem – Montmartre... Każdy paryżanin i każdy cudzoziemiec przyjeżdżający do Paryża obiera sobie za obiekt miłości określony rejon albo dzielnicę miasta i każdy z nich staje się gorliwym patriotą właśnie tej dzielnicy albo rejonu.

I mimo wszystko, jak wydaje mi się, tylko Montparnasse jest godny, by nosić miano kwintesencji Paryża. Vaugirard to prawie wyłącznie rejon handlowy; Pola Elizejskie, Auteuil, Passy – miejsca życia i aktywności samych tylko bogaczy, Montmartre przekształcił się w sztuczny rozrywkowy magnes przyciągający cudzoziemców ze wszystkich końców świata, dzielnica Łacińska – cytadela wesółych, ale nadzwyczajnie chamskich i do tego faszystowsko nastrojonych studentów... Inne dzielnice Paryża niczym szczególnym w rzeczy samej się nie wyróżniają. A Montparnasse...

A Montparnasse jest podobny do ogniskowej soczewki, w której skupiają się wszystkie promienie przez nią przechodzące, by potem rozblysnąć w najbliższej przestrzeni. Na Montparnassie można zrozumieć Francję, pojąć jej sekret, pokochać pełen sprzeczności Paryż, zafascynować się nim jak kobietą, zafascynować do tego stopnia, by zęby bolały w chwili rozstania.

Trudno uwierzyć, że nie tak znów dawno Montparnasse leżał na peryferiach, był prawie wsią. Tam i siam migają klasyczne paryskie kasztany i to jest wszystko, co zostało z naiwnego zielonego rozkwitu minionych czasów.

Bulwar Montparnasse zaczyna się od ulicy Sevres, ale aż do dworca wydaje się jakiś błąd i niewyraźny; dopiero od placu Rennes zaczyna się panowanie prawdziwego Montparnasse'u – panowanie Ducha i Ciała, Analizy i Syntezy. Co można powiedzieć o architekturze Montparnasse'u? Prawie jej się nie zauważa i wysokie szare budynki, zbudowane w mroczno-ciężkim stylu z początku wieku, nie zatrzymują wzroku, bo życie wrze na ziemi i człowiek wznosi oczy tylko nocą, kiedy zapalają się ognie reklamowego elektrycznego fajerwerku. Bulwar jest szeroki, co pozwala niebu łaskawie rozścielać swoją szatę nad ludzkimi namiętnościami obecnymi w duszach ogromnego tłumu przemierzającego asfaltowy chodnik Montparnasse'u.

Blżej dworca, czyli na samym początku „prawdziwego Montparnasse'u”, dominuje pierwiastek ludowy w postaci głównie kierowców taksówek, których postój znajduje się na południu trójkąta utworzonego przez wierzchołki „Milk-Baru” na wschodzie, dworca na północnym zachodzie i kawiarni „Dupont” na zachodzie początku bulwaru. Tam słyszy się krzyki, dowcipy, przekleństwa. To – le bon people de Paris¹⁹ pochodzący z przedmieścia Saint-Antoine, Ménilmontant, biednych skrajnych paryskich rejonów w rodzaju Clignancourt albo Belleville. Tutaj można jeszcze spotkać kobiety z kobiałką, szklarza, sprzedawcę maści na odciski; blisko do ożywionej handlowej ulicy Rennes, blisko do wielkich sklepów...

A oto już, niczym rodzynek w cieście, prześwituje pierwszy kram z książkami... Jest dość skromny i można mieć nadzieję, że coś interesującego znajdzie się dopiero w głębi sklepu. Jest całkiem skromny, ten kram...

A oto po przeciwległej stronie bulwaru widać zwykłą pospolitą bramę. I maleńki szyld. Drugi rodzynek, druga placówka przednia Ducha! Za bramą mieści się wystawa artystyczna, pracownia artystyczna. Jeszcze patrzą na nas zaspane gospodynie domowe w papilotkach, jeszcze słycać pluśnięcie wylewanych z wiadra pomyj na podwórze, a potem wchodzi się przez wąskie drzwi, schodzi po kilku schodkach i trafia się, jak to mówi, natychmiast w sam punkt: zaczyna się rozumieć jedną z najważniejszych i najbardziej charakterystycznych stron paryskiego życia.

Z rosyjskiego przetłumaczył Grzegorz Ojcewicz

Podstawa tłumaczenia

Ėfron, G. (2018). *Zapiski paryżanina. Dnevniky, pi'sma, literaturnye opyty 1941–1944 godov. S risunkami avtora (publikuïtsâ v pervye)*. Izdanie podgotovili E.B. Korkina, V.K. Losskaâ, A.I. Popova. Moskva: Izdatel'stvo «AST» i RGALI [Эфрон, Г. (2018). *Записки парижаннина. Дневники, письма, литературные опыты 1941–1944 годов. С рисунками автора (публикуются впервые)*. Издание подготовили Е.Б. Коркина, В.К. Лосская, А.И. Попова. Москва: Издательство «АСТ» и РГАЛИ].

¹⁹ Z fr. le bon people de Paris – lud paryski.

Od tłumacza

Ani twórczość literacka, ani tym bardziej dokonania plastyczne dziewiętnastoletniego Georgija Efrona (1925–1944), tragicznie zmarłego na froncie wielkiej wojny ojczyźnianej, gdzieś między Słobódką a Sznurkami na terytorium II RP²⁰, nie jest szeroko znana w jego ojczyźnie, a w ogóle – w Polsce. Nieco lepiej mają się sprawy z niezwyklejmi w swej szczerości diariuszami syna Mariny Cwietajewej, które w latach 2019–2021 ukazały się w moim przekładzie²¹, poprzedzając czwarty element translatorskiej układanki w postaci tomu epistolograficznego: *68 listów z piekła sowieckiego raju*²².

Georgij Efron z racji uwarunkowań biograficznych jego rodziców-emigrantów należał do dwóch kultur: zachodniej i wschodniej, francuskiej i radzieckiej. Wyrósł w atmosferze ukochanego Paryża, poezji przede wszystkim Paula Verlaine'a i Paula Valéry'ego, miasta, w którym przebywał przez czternaście lat, aż do czasu powrotu wraz z matką do ZSRR w czerwcu 1939 roku. Potem był zmuszony do odnalezienia się w paranoicznej rzeczywistości bolszewickiego państwa, co zresztą nigdy nie nastąpiło. Fakt ten powodował, że do końca życia był odbierany przez Rosjan jako obcy, przybysz z burżuazyjnego Zachodu, element niepewny z powodu rozstrzelania ojca, Siergieja Efrona, przez NKWD, niewyjaśnionych okoliczności samobójstwa matki i przebywania siostry Ariadny Efron w łagrze za „przewinienia” polityczne.

Ucieczką od dojmującego osamotnienia, biedy i głodu, szczególnie taszkienckiego okresu ewakuacyjnego, stały się dla Efrona, zwanego przez domowników Murem, dzienniki, listy i literatura własna. Prezentowany poniżej utwór jest swego rodzaju hołdem złożonym wraz z innymi jeszcze jego tekstami o Paryżu i Francji tej wyjątkowego na mapie Europy stolicy równie wyjątkowego państwa. Nie oceniam walorów artystycznych zapisków paryżanina, traktuję je bowiem przede wszystkim w kategoriach prób literackich, które mogłyby zapewne dać bardzo dobre rezultaty, gdyby chłopak niepotrzebnie nie zginął na wojnie. Talent pisarski bowiem odziedziczył po matce, a jego wyjątkowa dojrzałość intelektualna już w tak młodym wieku, zapowiadała powstanie dzieł wybitnych, kto wie, może nawet na poziomie ukochanego w ostatnim okresie życia Stéphane'a Mallarmégo. Mimo że od napisania tego tekstu dzieli nas spory kawałek historii, wiele z obserwacji Georgija Efrona – zwłaszcza o naturze ludzkiej, wojnie i Rosjanach – zachowało ważność do dzisiaj.

²⁰ Pisałem o tym w numerze ósmym *Studia Rossica Gedanensia*. Zob. G. Ojcewicz. (2021). Tajemnica zaginięcia czerwonoarmisty Georgija Efrona (1925–1944). *Studia Rossica Gedanensia*, 8: 217–249.

²¹ G. Efron. (2019). *Dzienniki. 1940–1943. Tom I. Rok 1940*. Przekład z rosyjskiego, redakcja i opracowanie naukowe G. Ojcewicz, Szczytno: Wydawnictwo „GregArt”; G. Efron (2021). *Dzienniki. 1940–1943. Tom II. Rok 1941*. Przekład z rosyjskiego, redakcja i opracowanie naukowe G. Ojcewicz. Szczytno: Wydawnictwo „GregArt”; G. Efron. (2021). *Dzienniki. 1940–1943. Tom III. Rok 1943*. Przekład z rosyjskiego, redakcja i opracowanie naukowe G. Ojcewicz. Szczytno: Wydawnictwo „GregArt”.

²² G. Efron. (2022). *68 listów z piekła sowieckiego raju. 1940–1944*. Przekład z rosyjskiego, redakcja i opracowanie naukowe G. Ojcewicz. Szczytno: Wydawnictwo „GregArt”.

Bibliografia / References

- Èfron, G. (2018). *Zapiski parižanina. Dnevnik, pišma, literaturnye opyty 1941–1944 godov. S risunkami avtora (publikuûtsâ v pervye)*. Izdanie podgotovili E.B. Korkina, V.K. Losskaâ, A.I. Popova. Moskva: Izdatel'stvo „AST” i RGALI [Эфрон, Г. (2018). *Записки парижанина. Дневники, письма, литературные опыты 1941–1944 годов. С рисунками автора (публикуются впервые)*. Издание подготовили Е.Б. Коркина, В.К. Лосская, А.И. Попова. Москва: Издательство «АСТ» и РГАЛИ].
- Efron, G. (2019). *Dzienniki. 1940–1943. Tom I. Rok 1940*. Przekład z rosyjskiego, redakcja i opracowanie naukowe G. Ojcewicz. Szczytno: Wydawnictwo „GregArt”.
- Efron, G. (2021). *Dzienniki. 1940–1943. Tom II. Rok 1941*. Przekład z rosyjskiego, redakcja i opracowanie naukowe G. Ojcewicz. Szczytno: Wydawnictwo „GregArt”.
- Efron, G. (2021). *Dzienniki. 1940–1943. Tom III. Rok 1943*. Przekład z rosyjskiego, redakcja i opracowanie naukowe G. Ojcewicz. Szczytno: Wydawnictwo „GregArt”.
- Efron, G. (2022). *68 listów z piekła sowieckiego raju. 1940–1944*. Przekład z rosyjskiego, redakcja i opracowanie naukowe G. Ojcewicz. Szczytno: Wydawnictwo „GregArt”.
- Ojcewicz, G. (2021). Tajemnica zaginięcia czerwonooarmisty Georgija Efrona (1925–1944). *Studia Rossica Gedanensia*, 8: 217–249.

Źródła internetowe / Internet sources

- Eugène Weidmann. *Wikipedia*. (Online) https://pl.wikipedia.org/wiki/Eug%C3%A8ne_Weidmann (dostęp 5.04.2021).
- „L'univers n'est qu'un défaut dans la pureté du non-être”. *Lintern@ute*. (Online) <http://www.linternaute.fr/citation/17882/1-univers-n-est-qu-un-defaut-dans-la-purete-du-non-etre----paul-valery/> (dostęp 5.04.2021).

GRZEGORZ OJCEWICZ

Szczytno, Polska / Poland

Corresponding Author e-mail: gojcew@poczta.onet.pl

ORCID: <https://orcid.org/0000-0002-5909-270X>

(nadesłano / received 12.04.2022; zaakceptowano / accepted 15.04.2022)

Competing interests: The author declares that he has no competing interests.
Grzegorz Ojcewicz is a reviewer in this issue of the journal.